



Grzegorz
Kondrasiuk

Od pewnego czasu opisuję na tych łamach fenomen polskiego życia teatralnego ostatnich lat, czyli emigracyjny teatr robiony przez uciekinierów z Białorusi i Ukrainy.

Najlepsze rzeczy, które w nim powstają, daleko wykraczają poza publicystykę, proste skargi na zbrodnie na własnym narodzie, poza dokumentalne opisy działania reżimów rosyjskiego czy białoruskiego. Klucz posttraumatyczny i terapeutyczny również się tu nie przydaje. Fascynują mnie, tak bardzo przecież różne, teatry Jury Dziwakoua, Paliny Dabrawolskiej czy – współpracujących z Pawłem Passinim i Aleksandra Konarską – Wolnych Kupałowców albo Zmicera Waynowskiego.

Dla dobrego artysty martyrologia jest za łatwa, za prosta. Ten rejestr pojawia się, ale od razu przeniesiony na wyższy poziom. Wracam na kolejne spektakle tych twórców, bo widzę w nich szansę na ożywczy impuls, jak nigdy potrzebny polskiemu teatrowi, który kręci się w kółko jak zacięta płyta, gdzie ci sami ludzie mówią wciąż to samo, o tym samym i do tej samej publiczności. To duszenie się we własnym sosie dotyczy zarówno tematyki (zawsze ten nudziarski, słusznościowy przekaz plus tematy z aktualnej paplaniny w social mediach), jak i formy: mało strawnej, zużytej kopii dawnych pomysłów Lupy, Warlikowskiego czy duetu Strzępka-Demirski, zmieszanej z kopiowaniem Netflixa i przeładowanej multimediami. Polska scena mogłaby z tego wschodniego impulsu skorzystać – gdyby go w ogóle



zauważyła. Ale dyrektorzy teatrów i festiwali, kuratorzy i krytycy mają zbyt wielu dobrych znajomych do obsłużenia i wyżywienia, są zajęci własnymi dealami i ustawieniami. Żeby dotrzeć do tego offu podniesionego do potęgi, trzeba by wyjść poza własne ciepełko... Na zakończony właśnie Inexkult Fest, pokazujący najciekawsze wschodnie produkcje, o ile się nie mylę, nie dotarł żaden z bonzów polskiego teatru – dlatego że nie musiał, bo pokazujący się tam artyści nie mają niczego, poza talentem, do zaoferowania i nie należą do niczyjej „stajni”.

Na Inexkult Fest najnowszą premierę pokazał Jura Dziwakou, niegdyś twórca grupy Laboratory Figures Oskar Schlemmer, reprezentant nieopatrzonej w Polsce białoruskiej awangardy, łączący sztuki wizualne, projekcje wideo, operę, lalki z teatrem dramatycznym. Ma swój niepodrabialny styl, któremu najbliższe chyba do surrealizmu z odniesieniami do teatru okrucieństwa. Po udanej adaptacji prozy Sorokina, „Nastii”, którą wciąż można oglądać w warszawskim Teatrze Powszechnym, znowu zrobił ważny spektakl.

Tym razem (wspólnie z polską reżyserką Pauliną Prokopiuk) na warsztat wziął „Koniec półświni”, dramat Helmuta

Kajzara, zapomnianego dziś twórcy, uważanego w latach 70. za jedno z najbardziej obiecujących nazwisk polskiego teatru. „Koniec półświni” to pamiętny, świetnie napisany, wygłaszany w trakcie świniobicia monolog świni obdarzonej nadświadomością. To tekst-eksces, prowokacyjny, ironiczny, konsekwentna realizacja jednej, dużej metafory morderstwa-ofiary, gdzie z masochistyczną rozkoszą prosiak wygłasza apologię ludzkiego świata ufundowanego na pożeraniu innych stworzeń, przeplatając je wieloma przenikliwymi obserwacjami i prorocztwami.

Na ten otwarty, wielowarstwowy dramat Dziwakou nałożył równie złożoną poetykę, potęgując teatralność w perfekcyjny sposób. W serii obrazów-scen wykreował, kojarząc się w przewrotny sposób z operą, atmosferę patosu, skonstruowaną z kabaretowymi pastiszami. Żeby nie było zbyt prosto – wszystko to zostało przełamane silną, podprogowo działającą obecnością znaków-archetypów, błakających się w zlaicyzowanej przestrzeni odwołań do dawnych porządków religijnych.

Monolog rozpiął na dwóch aktorów, zmieniając im kostiumy i scenerię: koncert, burleska, zapasy, postapokalipsa – i tak dalej... Wygłaszają go, skandując,

wyspiewując po polsku, z silnym wschodnim akcentem, co wzmacnia jeszcze efekt dystansu. Te stare chwytawki awangardy wciąż są niezwykle skuteczne – ale warunkiem jest ich stosowanie przez artystę o spotęgowanej skłonności do ironii.

W uszach dźwięczy mi sardoniczny śmiech Dziwakoua, to zarazem klucz do zrozumienia tego, w czym uczestniczyłem, i rzeczywistość – bo reżyser przysiadł w ostatnim rządzie i chichotem beckettowskiego błazna uzupełniał własne działo o bezsłowny komentarz. I tak wychodzimy z teatru z pytaniem: O czym to było? Ani Kajzar, ani tym bardziej Dziwakou nie dostarczają w tej materii jasnych wskazówek, a raczej – dostarczają ich za dużo. Odpowiedzi i interpretacje pojawiają się w głowie obok siebie i każda jest uprawniona. O banalnym, sadomasochistycznym konformizmie życia codziennego? O przemocy immanentnie wmontowanej w świat? O tym, że farsa jest tragedią – i odwrotnie? ©©

HELMUT KAJZAR,
„KONIEC PÓŁŚWINI”
PRODUKCJA: INEXKULT FEST
REŻYSERIA: JURA DZIWAKOU,
PAULINA PROKOPIUK
OBSADA: ALEXEI SAPRYKIN,
MIKALAI STONKA
PREMIERA: 17 SIERPNI 2023 R.